



JADWIGA BIELSKA

Jadwiga Bielska, studentka, ur. 22 lipca 1922 r. w Warszawie, córka Jerzego i Janiny z Bogdanowiczów Bielskich, zamieszkała w Lublinie, ul. 3 Maja 8 m. 1a, więźniarka nr 7 922, operowana, z obozu Ravensbrück.

Zostałam aresztowana 14 lutego 1941 roku o godz. 12.30 w południe (w piątek). Przyszło po mnie dwóch eleganckich, cywilnych panów, z których jeden świetnie mówił po polsku. Jak się później okazało było to gestapo. Ponieważ znałam język niemiecki, rozmawiałam z gestapowcem, który mnie aresztował, a następnie badał. Był to przystojny Niemiec imieniem Adolf – z dużą szramą na brodzie – słynny ze swej perfidii i okrucieństwa. Kazał mi się ubrać, ponieważ muszę iść z nim na ulicę Uniwersytecką (Pod Zegarem – główny gmach gestapo), aby złożyć zeznania. Podczas mojego ubierania się chodzili za mną krok w krok – Adolf przeprowadzał rewizję moich książek, szafy, łóżka, zaglądał we wszystkie kąty, przewracając mieszkanie do góry nogami. Powiedział mi zresztą od razu, że szukają maszyny do pisania. Po wyjściu z domu wsiedliśmy do auta, które już na mnie czekało i pojechałam do gestapo. Adolf był uprzedzająco grzeczny, bo chciał ze mnie wyciągnąć zeznania już podczas drogi. W gmachu gestapo zostałam zaprowadzona natychmiast na pierwsze piętro do pokoju badań – tam przez dwie godziny starał się Adolf coś ode mnie dowiedzieć, ale ponieważ zaprzeczałam wszystkim oskarżeniom, odesłał mnie do małego dyżurnego pokoju pod opiekę SS-mana. Po pół godzinie wpadł wściekły mój dręczyciel, mówiąc: – Jadwiga, chodź. Teraz pogadamy inaczej! Cała maska uprzejmości spadła z niego. Po kilkugodzinnych badaniach odesłano mnie do ciemnicy z kajdanami na rękach. Adolf powiedział: – Teraz posiedzisz sobie tutaj o głodzie i w kajdankach. Siedziałam tak dwie doby w strasznych warunkach, kajdany bardzo ciasno zatrzaśnięte porobiły mi sińce na rękach. W niedzielę miałam znów kilka badań, podczas których Adolf bił mnie pięściami po twarzy, mimo że wprost omdlewałam z wycieńczenia. W poniedziałek po zeznaniach

zdjęto mi kajdany i przeniesiono do innej, widniejszej trochę celi. Wieczorem tego samego dnia odwieziono mnie i jeszcze dwie panie autem do więzienia na Zamek. Pierwszą szykaną ze strony władz więziennych było rozdzielnie mnie z koleżanką, z którą pragnęliśmy być w tej samej celi. Mnie dano do celi 35. Liczyła ona 18 kobiet i była już przepełniona – przez tydzień spałam, siedząc na brzegu stołka, gdyż nie było nawet miejsca na podłodze, żeby się ułożyć. Po tygodniu zostałam nagle przeniesiona do celi 38 przez asesora więzienia Dietricha (volksdeutsch, który był wychowany i urodzony w Polsce), największego kata i oprawcę więzienia lubelskiego. Nienawidził on więźniów politycznych i na każdym kroku utrudniał nam i tak już ciężką wegetację na Zamku. Cella, w której obecnie mieszkałam, była duża, mieściła się w suterenie i zawierała najgorszy element, zbieraninę złodziejek, prostytutek i bandytek, które naturalnie znały więzienie jak własną kieszeń i rządziły nami w celi. Warunki higieniczne były opłakane: robactwo, brud, zaduch. Ale najgorszą chyba rzeczą było współżycie z tak strasznymi wyrzutkami społeczeństwa, mimowolne słuchanie ich rozmów, kłótni i wymyślań pod naszym adresem, których nie szczędziły, nazywając nas „inteligencją szpagatową”, „politycznymi” – naturalnie z pogardą. Ten system wsadzania młodych dziewcząt politycznych (ja nie miałam jeszcze 19 lat) między najgorsze męty społeczne i do najgorszych cel miał za zadanie szerzenie zepsucia i udręczenie naszego ciężkiego życia.

Okres pobytu w więzieniu wspominam jako najgorszy koszmar – byłam zupełnie sama pośród takiego otoczenia. Szykanowano nas na każdym kroku. Byle złodziejka miała więcej do powiedzenia na celi niż jedna z „politycznych”. Gdy w dwa tygodnie po mnie aresztowano moją matkę, nie pozwolono nam mieszkać w jednej celi. Przez całe osiem miesięcy naszego pobytu na Zamku byłam rozdzielona z matką i utrudniano nam jakiegokolwiek porozumienie. Jedną z szykan ze strony władz więziennych było urządzenie tzw. siarkowania, tj. dezynfekcji cel przed wszami. Musiałyśmy wtedy defilować prawie zupełnie nagie, bo tylko w biustonoszach i reformach, przez cały oddział męski, przez podwórko koło domu SS-manów. Naturalnie wszyscy Niemcy przyglądali się nam, robiąc sprośne uwagi i śmiejąc się z naszego wstydu.

W więzieniu panowały różne choroby, jak tyfus brzuszny i plamisty, świerzb. Z powodu słabej opieki lekarskiej dużo osób umierało. Ciągłe egzekucje, wywoływanie w nocy i zabieranie ludzi na śmierć, stale rewizje, bicia i inne „przyjemności” czyniły nasz pobyt na Zamku naprawdę strasznym.

21 września 1941 roku zostałyśmy wywiezione transportem 156 kobiet politycznych do Niemiec „na roboty, gdzie będzie nam dużo lepiej pod każdym względem” (słowa Niemca – naczelnika więzienia). Naturalnie nie wiedziałyśmy, dokąd jedziemy. Droga trwała dwie doby. Przez ten czas nie dano nam nic do jedzenia. Błagałyśmy choćby o zimną wodę, bo człowiek miał pragnienie, ale wszystko na próżno.

Nareszcie 23 września rankiem, zziębnięte i głodne, przybyłyśmy do stacji Fürstenberg. Na stacji powitała nas zgraja dozorczyń obozowych z olbrzymimi psami, wilkami, specjalnie tresowanymi na ludzi. Wszystkie *aufseherki* miały rewolwery, którymi nam ciągle groziły, szczyły nas psami, biły po twarzy i kopały – jednym słowem od pierwszej chwili stosowali Niemcy metody udręczenia i terroru. Przewieźli nas zakrytymi samochodami do obozu Ravensbrück i ustawili na głównym placu, tzw. *Lagerstrasse* przed *Badenem*, czyli łaźnią, gdzie nas miano przebrać, wykąpać i zarejestrować. Stałyśmy na placu od 6.00 rano do 12.00 w nocy bez jedzenia. Nie wolno nam było kucnąć czy usiąść. Byłyśmy specjalnie źle traktowane jako transport specjalny, tzw. *Sondertransport*, jak się później okazało, przeznaczony w większej części na stracenie, czy to przez rozstrzelanie, czy też przez operacje doświadczalne.

Przyjmowanie transportu odbywało się w okrutny sposób. Bito i kopano biedne więźniarki. Naturalnie zabrano nam literalnie wszystko – nasze ubrania, trochę jedzenia, które przywiozłyśmy z więzienia. Jednym słowem, całkiem nagie wchodziłyśmy do łaźni. Tam po kąpieli oglądał nas lekarz gestapowiec (przy naszym przybyciu był doktor Sonntag), który bił nas przy byle sposobności. Następnie w dalszym ciągu całkiem nagie szłyśmy do przeglądu włosów – prawie wszystkim młodym dziewczętom, które miały ładne uczesania, golono głowy maszynką zupełnie do gołej skóry. Ja również miałam ścięte włosy. Było to strasznie przykre, gdyż zimno dawało się bardzo we znaki nagiej głowie. Ubrano nas w pasiaki – sukienki i krótkie żakiety – dano wielkie drewniane trepy, które człowiek gubił i kaleczył nimi nogi. Miałyśmy jeszcze na głowach cieniutkie białe chusteczki, a na nogach pończochy z wełny niemieckiej (z pokrzyw) – oto nasz ekwipunek na zimę. Dostałyśmy się na blok 15. Przez trzy tygodnie kwarantanny nie chodziłyśmy do pracy, za to na bloku byłyśmy szykanowane przez nadzorczyńie ciągłymi kontrolami i karami. Otrzymałyśmy każda po łóżku, które trzeba było słać w kostkę. Za źle posłaną kostkę stosowano najgorsze kary. Tak samo było z przekroczeniem któregokolwiek z idiotycznych lagrowych przepisów. Winne wysyłano do *Strafblocku* (bloku karnego) lub do tzw. bunkra, czyli więzienia, gdzie były głodzone. Była jeszcze stosowana kara bicia: 25, 50 lub 75 gum albo stójki kilkunastogodzinne na mrozie.

Stan bloku wynosił wtedy 270 osób. Obóz liczył we wrześniu 1941 około 5 tys. kobiet – baraków mieszkalnych było 12, reszta mieściła rewir (szpital), kamerę, szwalnię, itd. Razem było 15 baraków.

Praca była różna. Po skończonej kwarantannie wysłano nas do pracy fizycznej na terenie obozu, jak wożenie ziemi, kopanie dołów do kanalizacji, budowanie szos, noszenie kamieni, wożenie śniegu taczkami nad jeziorem, ładowanie węgla i cały szereg innych. Brałam udział we wszystkich tych pracach, które naprawdę były bardzo ciężkie i przerastały moje siły. Nadzorkynie szczyły nas psami i biły do nieprzytomności, gdy ktoś nie mógł lub się opóźniał w robocie. Spisywały meldunki, których następstwem był blok karny lub bunkier. W zimie mrozy były straszne, marzłyśmy na kość w cienkich „jackach”, ostry wiatr przenikał na wskroś pasiaki. Nogi nam kostniały i odmrażały się. Stałyśmy na apelach trzy razy dziennie (rano, w południe i wieczór) po dwie – trzy godziny.

Traktowanie chorych było jak najgorsze. W rewirze pracowały Niemki – siostry SS i więźniarki – specjalnie Polki były nienawidzone. Nie chciano badać chorych i wyrzucano je za drzwi. Gdy któraś z nowo przybyłych nie znała języka niemieckiego i nie umiała sama powiedzieć po niemiecku, co jej dolega, była natychmiast wyrzucana, a często bardzo bita. Lekarze bili i kopali kobiety chore, z podmrażanymi rękami i nogami, z wrzodami z powodu braku witamin i nie dawali żadnych leków. Właściwie do szpitala zabierali przeważnie osoby nieprzytomne z gorączki lub umierające, którym trzeba było „pomóc” przez danie śmiertelniego zastrzyku w serce. Pielęgniarka niemiecka Gerda była właśnie specjalistką od uśmiercania ciężko chorych. Najgorszymi osobami z personelu szpitalnego byli lekarze niemieccy: Sonntag, Schiedlausky, Rosenthal, Oberheuser (kobieta). Później w roku 1945 doktor Trommer, który przeprowadzał tzw. selekcje, czyli wybieranie kobiet starych, chorych, siwych, a często zupełnie zdrowych, aby je wysłać następnie do komory gazowej. W marcu 1945 roku ofiarą takich selekcji padło około 8 – 10 tys. kobiet różnych narodowości, nie licząc tych, które zagazowano w latach wcześniejszych. Na przykład chore na płuca były regularnie co kilka miesięcy wywożone na stracenie.

Podczas swojego czteroletniego pobytu w Ravensbrück poznałam prawie każdy rodzaj pracy fizycznej. Przez dwa miesiące pracowałyśmy przy szyciu słomianych butów dla żołnierzy niemieckich. Była to praca w dzień i w nocy, w strasznych warunkach higienicznych – pył i kurz ze słomy unosił się w powietrzu i dusił, zanieczyszczając płuca. Przez cały czas

miałam najcięższą pracę: plecenie warkoczy słomianych, musiałam stać. Ręce miałam popuchnięte i poranione od słomy.

Dozorczynie znęcały się nad nami razem z kontrolerkami pracy, więźniarkami Niemkami, które w niektórych wypadkach były naprawdę bardziej podłe od dozorczyń.

Po skończonej kampanii szycia butów słomianych skierowano mnie do szwalni wojskowej. Nie potrzebuję chyba zaznaczyć, że praca w obozie była obowiązkowa i, że kto nie pracował, dostawał kartę niezdolności i był najbliższym transportem wywożony na stracenie. Szwalnia była pod nadzorem SS-manów, krawców wojskowych. Najgorsi z nich to Binder, Graff, Schmidt (popełnił samobójstwo z powodu nadużyć), Opitz, Pitsch i inni. Ja pracowałam przy elektrycznej maszynie do szycia. Przez dwa miesiące szyłam tylko w nocy, 12 godzin. Naturalnie o głodzie szyłyśmy płaszcze – anoraki dla wojska oraz ubrania dla więźniów mężczyzn. Traktowanie było okropne. Za najmniejszą niedokładność w robocie robiono meldunki, wysyłano do *Strafblocku*, bito nas w pracy do krwi.

W kwietniu 1941 roku 13 naszych koleżanek z więzienia lubelskiego, które były na jednym bloku ze mną, zostało zabranych na rozstrzelanie. Zawiadomienia do rodzin wysłano w kilka miesięcy później. Egzekucje w obozie odbywały się nieregularnie. Największe nasilenie rozstrzeliwań było w latach 1942 – 1943. Zabierano kobiety z bloku, prowadzono do biura politycznego poza bramą główną obozu, skąd już nie wracały. Często wieczorem podczas apelu słyszałyśmy salwy karabinowe, bo plac straceń mieścił się niedaleko lagru, w pobliskim, otaczającym go lasu. Najwięcej rozstrzelanych było Polek, głównie z transportu z Pawiaka i z naszego.

Obóz bardzo szybko się rozrastał. Przywożono coraz więcej narodowości obcych: Czeszki, Rosjanki, Ukrainki, Francuzki, Holenderki i inne. W ostatnim roku 1944 – 45 przybywało tyle transportów (po kilka i kilkanaście tysięcy [osób] dziennie), że nie było wprost gdzie ich pomieścić. Bardzo prędko skasowano po łóżku na osobę – ostatnio spałyśmy po dwie na jednym wąskim łóżku.

Warunki sanitarne, dość znośne na początku, zaczęły się z biegiem lat pogarszać – ostatnie miesiące pobytu w obozie były istną makabrą z powodu różnych epidemii, zaduchu trupów walających się po blokach, robactwa i strasznych przejść moralnych jak ciągłe gazowanie i selekcje. Komin krematoryjny dymił bez przerwy. W roku 1944/45 był taki zaduch i swąd spalonych ciał, że czasami trudno było wyjść na plac.

Jedzenie w obozie na początku było dość znośne w smaku, lecz niewystarczające w ilości. Dawano nam 25 lub 20 dkg chleba z mąki kasztanowej dziennie, kubek czarnej, gorzkiej kawy i trochę zupy z brukwi z kartoflami lub bez. Z dnia na dzień czułyśmy się bardziej wyczerpane ciężką pracą i potwornym wprost głodem. Na szczęście w grudniu 1942 roku zezwolono na otrzymywanie paczek żywnościowych z domu. Mimo okradania nas przez rewidujące paczki dozorcynie, były one jednak jedynym naszym pożywieniem przez prawie dwa lata i to nas podtrzymało fizycznie. Jedzenie stawało się coraz gorsze. Ostatnie – w roku 1944 i 1945 było wprost niemożliwe do przełknięcia: trochę czarnej polewki ze zgniłej, suszonej brukwi i 1/7 część chleba, to znaczy dość cienka kromka, na cały dzień. Ostatnie trzy tygodnie przed ewakuacją chleba już nie dawali, mimo że były go pełne magazyny, tak samo jak paczek z Ameryki, z Czerwonego Krzyża i ze Szwecji, którymi objadali się SS-mani i dozorcynie, podczas gdy myśmy dosłownie ginęły z głodu. Kto nie zdobył kilku kartofli lub kawałka chleba przez kogoś z kuchni obozowej, ten umierał z głodu. Tak samo z ubraniem – było coraz gorzej. Zamieniono nam pasiaki na prywatne ubrania z namalowanymi lub naszytymi krzyżami i odbierano po trochu różne części garderoby. Ostatnie transporty chodziły dosłownie bez pończoch i butów, bez koszul, w jednych tylko sukienkach.

Obóz dzielił się według narodowości na: Polki, Francuzki, Niemki, Czeszki, Holenderki, Jugosłowianki, Rosjanki, Ukrainki, Belgijki, Żydówki wszystkich narodowości (wszystkie zagazowane), Cyganki wszystkich narodowości (też zagazowane). Właściwie obóz liczył wszystkie narodowości, gdyż było nawet kilka Amerykanek, Angielek, Murzynek itd. Były też dzieci żydowskie i cygańskie, a ostatnio nawet bardzo dużo noworodków polskich i francuskich, które się urodziły już w obozie, a których matki przybyły jednym z ostatnich transportów.

Element w lagrze był różny. Zasadniczy podział, co rozumiało się przez *häftlingi*: 1) polityczne (czerwony trójkąt), 2) złodziejki – ogólnie sprawy kryminalne (zielony trójkąt), 3) tzw. asocjalne – czyli aspołeczne, różne prostytutki i inne męty (czarny trójkąt), 4) sekta religijna złożona przeważnie z Niemek, tzw. badaczki Pisma Świętego (fioletowy).

Mieszkałyśmy zasadniczo w blokach narodowościowych: polskich, francuskich itp. Ostatnio jednak był tak olbrzymi bałagan, że więźniarki pomieszano wszystkie razem, warunki więc stawały się nieznośne. Bloki przeznaczone na 270 osób liczyły po 700 – 800. Baraków mieszkalnych było ostatnio 32, nie licząc osobnego obozu więźniarek pracujących w wielkich szwalniach wojskowych i obozu Simensa – fabryki żarówek, części elektrycznych do aparatów

podśluchowych i do samolotów. Stan obozu Ravensbrück w chwili największego nasilenia wynosił około 45 tys. kobiet, a numery porządkowe więźniarek przekroczyły 126 tys. (tyle przewinęło się przez lager przez sześć lat okupacji). Nasz transport miał numery: 7 tysięcy.

W lipcu 1942 roku zostałyśmy nagle imiennie, wszystkie z lubelskiego transportu, wezwane przed rewir, gdzie przyglądało się nam kilku gestapowców w mundurach (jak się później okazało, byli to lekarze wybierający ofiary na operacje doświadczalne, które zaczęły się 1 sierpnia 1942). Ja zostałam wezwana do rewiru w listopadzie wraz z innymi (było nas około 12). Z początku wzięto tylko kilka. Po trzykrotnym odsyłaniu mnie na blok, 21 listopada zostałam ostatecznie wezwana, pobieżnie zbadana przez niemiecką lekarkę Oberheuser i odesłana do rewiru. W rewirze wykąpano nas, dano czystą bieliznę i położono do łóżka. Przez dwa dni czekałyśmy z drżeniem na to, co ma nastąpić. Lekarze niemieccy nie interesowali się nami specjalnie przed przyjazdem profesora Gebhardta. 23 około południa ogolono nam nogi, potem przyszła siostra Niemka i dała nam domięśniowe zastrzyki morfiny (wiedziałyśmy to od naszych poprzedniczek). W dwie godziny po morfinie, gdy leżałam już trochę nieprzytomna, przyjechała znów siostra z wózkiem szpitalnym i kazała mi się położyć; zawieziono mnie na korytarz przed salę operacyjną, gdzie już operowano moją koleżankę (ja byłam druga z rzędu). Siostra dała mi zastrzyk usypiający dożylny – po policzeniu do 21 zasnąłam. Obudziłam się około godziny siódmej wieczorem na swoim łóżku w rewirze. Miałam potworny ból głowy, dreszcze, szaloną temperaturę (40°) i szarpiący ból w prawej nodze, którą nie mogłam dosłownie poruszyć. Ciekawość jednak przemogła, dźwignęłam się na łóżku i odsłoniłam kołdrę. Moja prawa noga była nieprawdopodobnie spuchnięta, o kolorze fioletowo-sinym – cięcia nie miałam – tylko dwa duże znaki po bardzo grubej igle. Zrobiono mi więc dwa zastrzyki do wewnątrz, na środku łydki. Jak mnie potem poinformowały lekarki polskie pracujące w rewirze miałam zastrzykniętą tzw. zgorzel gazową, która spowodowała gangrenę prawej nogi.

Leżałam w rewirze trzy tygodnie, podczas których prawie cały czas miałam wysoką temperaturę do 40°, w ostatnim tygodniu niższą – 38 z kreskami, 37 z kreskami. Noga puchła i bolała coraz bardziej, nie mogłam zupełnie nią poruszyć. Lekarka Niemka codziennie odwiedzała nas, badając stan nóg. Niestety wszystko było otoczone tak wielką tajemnicą, że zupełnie nie wiem, co mi właściwie robiono podczas tych kilku godzin narkozy. Jako lekarstwo dostawałam trzy razy dziennie zastrzyki dożylny, nie wiem jednak, jakiego rodzaju preparat zastrzykiwano. Jak przypuszczały lekarki Polki pracujące w rewirze, mogło być to serum

wyhodowane na moich koleżankach wcześniej operowanych. Oprócz tego dawano nam krople morfiny na noc na uśmierzenie bólów, które były potworne i nie dawały nam spać.

Opieka lekarska była bardzo słaba. Oprócz Oberheuser – lekarki wojskowej – Niemki, która na wszystkie nasze skargi odpowiadała z uśmiechem: – *Ist Gut* i pielęgniarki, również Niemki, nikt się nami nie zajmował. Leżałyśmy w osobnym skrzydle szpitala obozowego i dostęp do naszych pokoi był surowo wzbroniony innym chorym, jak również personelowi rewirowemu, a szczególnie lekarkom Polkom. Przebieg mojej choroby miał wszystkie objawy ciężkiej choroby zakaźnej jak: wysoka temperatura, bóle głowy itp. Oberheuser, lekarka niemiecka, nazywała nas zresztą „te, które otrzymały *Infektionsspritze*” (zastrzyki infekcyjne).

Powoli organizm zaczął zwalczać infekcję tkwiącą w nim. Noga powoli trochę mniej bolała i opuchlizna spadała. Dwa razy przyjeżdżał doktor Fischer, główny asystent naszego oprawcy Gebhardta, i zabierał nas na oględziny na salę opatrunkową. Tam badał mi nogę, przyciskając i dotykając ją w łydce i kostce, a na moje jęki z bólu odpowiedział: – *No ja! Est ist schön!*

Po trzech tygodniach leżenia wysłano nas na blok. Oberheuser zaopiniowała, że możemy już chodzić. Naturalnie o tym nie było mowy. Noga bolała szalenie, nie mogłam zupełnie jej spuścić na ziemię. Poza tym wszystkie mięśnie były jak sparaliżowane. Nogę w kostce miałam kompletnie unieruchomioną, nie mogłam wcale poruszać stopą, nie mówiąc już o tym, żeby zrobić krok. Mięśnie łydki zdawały mi się twarde jak kamień. Miałam ciągle wrażenie jakiegoś ciężaru i naporu wewnątrz łydki i tego, że lada chwila noga mi po prostu pęknie. Było to straszne uczucie. Prawą nogę miałam (zdawała mi się ona) o wiele krótszą niż zdrowa – wszystko na skutek paraliżu i skurczenia mięśni i ścięgien.

W bloku leżałam jeszcze cały grudzień, tak że dopiero w połowie stycznia (dwa miesiące po operacji) mogłam zacząć prawie normalnie chodzić. Bóle w łydce i w kostce, drętwienie nogi odczuwałam przez wszystkie lata po operacji. Okazało się, że infekcja została w organizmie i w styczniu 1945 roku zachorowałam ciężko na flegmonę 1) w pachwinie, 2) na udzie operowanej nogi. Tylko natychmiastowa operacja i wypompowanie ropy uratowało mi życie i zdrowie.

Na skutek zabiegu doświadczalnego i wysokiej temperatury, jak również ciężkiej pracy fizycznej, do jakiej wyrzucali nas oprawcy niemieccy w kilka miesięcy po operacji, a szczególnie z powodu narkozy rozchorowałam się ciężko na serce. Lekarka Czeszka

badająca mnie w rewirze powiedziała: – Naturalnie, to są skutki operacji i ciężkiej choroby zakaźnej, jaką pani przeszła podczas zabiegu doświadczalnego.

Po operacjach nie wolno nam było pracować poza terenem obozu. Niemcy bali się po prostu propagandy, jaką mogłybyśmy im robić, pokazując pokaleczone nogi i opowiadając o wszystkich nieprawdopodobnych okrucieństwach stosowanych w lagrze, o których ludność cywilna niemiecka nie miała pojęcia. Byłyśmy więc zatrudnione na terenie obozu przy ciężkiej pracy, którą musiałyśmy wykonywać.

Lekarze rewirowi: Schiedlausky i Rosenthal chcieli nam wydać karty niezdolności do pracy – co przecież było równoznaczne z wyrokiem śmierci – gdyż osoby niepracujące zabierano w tzw. czarny transport i uśmiercano. Z dwojga złego każda z nas walczyła o swe własne życie i starała się przy nim utrzymać.

Niestety perfidia i okrucieństwo Niemców przeszły wszelkie granice – siedem z naszych operowanych koleżanek zostało rozstrzelanych. Wywołało to wśród nas wielkie przygnębienie i chęć buntu. One przecież tyle wycierpiały i po tym wszystkim jeszcze je zabijają. Jeśli nam wszystkim przeznaczona śmierć, niech tego dokonają od razu, nie męcząc nas tak strasznie przedtem. 15 sierpnia 1943 roku wezwano znów kilka osób na operację. Nie chciałyśmy ich wydać. Zastosowano daleko idące represje. One zostały operowane w bunkrze, w strasznych warunkach higienicznych. Nasz cały blok był zamknięty przez trzy doby bez powietrza (okiennice szczelnie pozabijane) i bez jedzenia. Paczki skonfiskowano nam także. Adiutant obozu groził nam wszystkim karabinami maszynowymi, niezawodnym środkiem uśmierzania buntów. Gdy po trzech dobach otworzono nam wreszcie blok i kazano iść na apel, przedstawił się straszny widok: kobiety pozbawione świeżego powietrza w tak duszne i upalne dni mdlały jedna po drugiej, wycieńczone z głodu i duchoty.

Było to wieczorem. Nazajutrz rano wszystkie musiały się już, jak zwykle, stawić do pracy, inaczej groził meldunek. W pewien czas później znów wybuchł wielki skandal, kiedy adiutant obozu kazał wezwać do siebie wszystkie Polki polityczne i zaproponował nam zgłoszenie się do *Puffu* (domu publicznego) „dla polskich jeńców”, jak się wyraził. Wywołało to ostre wystąpienie z naszej strony, ponieważ jako polityczne i operowane czułyśmy się po prostu obrażone taką wstrętną propozycją. Nasz protest spowodował ostre kary: kilka koleżanek zamknięto w bunkrze, cały blok został pozbawiony paczek przez dwa tygodnie i jedzenia

przez trzy dni. Poza tym zrobiono szczegółową rewizję na bloku, podczas której okradziono nas z osobistych rzeczy, jak bielizna z paczek, a także z żywności, jaką miałyśmy przysłałą z domów. Od tego czasu byłyśmy jako grupa królików specjalnie szykanowana i pilnowana. Ciągłe rewizje i kontrola wraz z konfiskatą paczek były na porządku dziennym. W styczniu czy lutym 1944 roku zostałyśmy przeniesione jako grupa operowanych do tzw. *Sonderblocku* (bloku specjalnego) nr 32, gdzie nas umieszczono razem z Francuzkami, które miały wyroki śmierci. Przy tej okazji oddzielono mnie od mojej matki, z którą nie miałam być razem już do końca pobytu w obozie, mimo wszelkich starań.

Blok nasz był specjalnie pilnowany. Nie wolno było nikomu nas odwiedzać, no i naturalnie dano nam za blokową specjalną Niemkę – szpicla – która miała nas śledzić i o wszystkim donosić władzom obozu. Nazywała się ona Käty Knoll. Za najłżejsze wystąpienie przeciw przepisom groziły nam jak najsurowsze kary.

W roku 1944 kurs w stosunku do operowanych trochę zelżał. Zaczęto nas wyraźnie kokietować. *Oberaufseherin* Binz, adiutant i komendant starali się dać nam jakieś dogodniejsze warunki życia, jak osobne łóżka itp. Nie rozumiałyśmy, co to znaczy. Okazało się później, że chodziło im o uśpienie naszej czujności, aby tym łatwiej móc w odpowiedniej chwili sprzątnąć te tak dla nich kompromitujące dowody zbrodni. I rzeczywiście – krytyczna chwila nadeszła z dniem 4 lutego 1945, gdy wezwano imiennie wszystkie operowane do komendanta i dano nam rozkaz szykowania się do transportu. Naturalnie, było jasne, że chcieli nas wywabić pod jakimkolwiek pozorem poza teren obozu i po prostu zabić. Komendant tłumaczył nam, że mamy być przewiezione do innego, wygodniejszego obozu, gdzie byłybyśmy otoczone lepszą opieką – wymienił obóz w Gross-Rosen. „Panie komendancie – odpowiedziałyśmy – przecież obóz w Gross-Rosen (na Śląsku) jest już od dawna zajęty przez wojska sowieckie”. Na to komendant zmieszał się i zwrócił się po niemiecku do obok siedzącej *Oberaufseherin* Binz: – I znów popełniliśmy błąd. To jest najlepszym dowodem, że kłamstwem były jego bajki o transporcie. Chcieli nas po prostu wykończyć, było to na wyraźne, osobiste żądanie „rzeźnika” naszego – Gebhardta.

Jednak nie dałyśmy się, grając na zwłokę i wierząc, że każdy następny dzień może nam przynieść wybawienie wobec zmiany sytuacji politycznej. Po kilku tygodniach krycia się i chowania na strychach, w innych blokach, po przebieraniu się za inne narodowości, zmianie numerów itp. wygrałyśmy tę jedyną w swoim rodzaju i ostatnią już naszą walkę o życie.



Okrucieństwem wydawało się każdej z nas zginąć w przeddzień wolności. Dzięki pomocy współtowarzyszek niedoli i olbrzymiej liczby mieszkanek obozu nie mogli Niemcy nas wytropić i znaleźć. Gdy w marcu i kwietniu zajął się naszym obozem Szwedzki Czerwony Krzyż i zaczął wywozić do Szwecji transporty z Ravensbrück, wtedy byliśmy naturalnie już bezpieczni. Niemcy czuli się wreszcie bezsilni wobec przegranej na wszystkich frontach. Zrobiono nam jeszcze jedną szykanę, nie puszczając operowanych pod bardzo surową karą w transport do Szwecji: kontrolowali wszystkie wyjeżdżające, tak że musiałyśmy zostać do chwili ewakuacji. Komendant liczył, że padniemy po drodze. Myśmy jednak doszły cało do Ojczyzny.

Te wszystkie, własnoręcznie napisane zeznania podpisem swoim potwierdzam.

Jadwiga Bielska, Lublin, 9 października 1945 r.